

mienicy przy ul. Niecałej stał na półce w gabinecie m. in. — wielotomowy komplet pism marszałka. Osobom cieszącym się szczególną sympatią „Dziadzia”, wręczał on czasem któryś z tomów z przemówieniami Naczelnika, doradzając życzliwie: „Pan, zdaje się, próbuje pisać. Proszę TO sobie przestudiować w domu... Zobacz pan, ile trzeba mieć talentu literackiego, żeby potem — ludzie chcieli słuchać tego, co się do nich mówi”.

Kiedy w 1966 r. umarł Feliks Araszkiwicz, zamknął się cały długi i bogaty rozdział lubelskiej kultury. A przecież „Dziadzio” wcale nie był tak wiekowy: liczył sobie wówczas zaledwie siedemdziesiąt jeden lat...

Szable i florety

Na początku lat pięćdziesiątych studencki sport nie stał w Lublinie na najwyższym poziomie. Składało się na to wiele przyczyn, a wśród nich istotny był brak odpowiedniej bazy materialnej i lokalowej AZS. Toteż młodzież najchętniej wiązała się z działającymi w mieście znanymi i silnymi klubami, takimi jak Lublinianka czy Start. Właśnie w barwach Lublinianki występował doskonale zapowiadający się junior, a następnie jeden z czołowych zawodników drużyny piłkarskiej, student weterynarii — Czesław Gajdek; w tym samym klubie boksował przez pewien czas Kazimierz Kordzielewski. W Starcie, trenowali lekkoatleci Eligiusz Więckowski i Sławomir Górski... I można by tak cytować jeszcze szereg innych nazwisk.

Miał jednakże AZS pewien silny atut. Była nim liczna i doskonale zorganizowana — sekcja szermiercza, której tradycje sięgały jeszcze lat przedwojennych (kiedy, zresztą, również wy-

różniała się spośród innych sekcji sportowych Akademickiego Zrzeszenia Sportowego działającego wśród studentów KUL).

Na treningi zachodził nierzadko, stary przedwojenny szkoleniowiec lubelskich szermierzy (a po wojnie — pierwszy chyba wychowawca nowego szermierczego pokolenia), trener Janiszewski. Cieszył się wśród zawodników należnym szacunkiem, zwracano się do niego, z respektem, per: „panie fechmistrzu”. Ale... wiadomo było każdemu, że szkoła walki jakiejś hołdował, daleka jest już od nowoczesności.

Głównym trenerem i zresztą — duszą sekcji szermierczej AZS był młody asystent chemii na UMCS, doskonały szablista, mgr Bohdan Przybyło.

Były to lata ogromnego zainteresowania w Polsce szermierką. Wiązało się to niewątpliwie z pasmem zwycięstw młodej polskiej drużyny szermierczej na międzynarodowych planszach. O trenerze polskiej drużyny, majorze Janosie Keveyu, wiedział wówczas każdy młody Polak. Zaś drobny, ciemnowłose, szybki jak błyskawica, atakujący fenomenalnymi flesztami Wojciech Zabłocki zwany powszechnie Kajtkiem, był czymś w rodzaju studenckiego bohatera narodowego.

Mało kto wie, że w dzieciństwie i latach chłopięcych Wojciech Zabłocki związany był silnie z Lubelszczyzną. A dokładniej — z Lubartowem, gdzie ojciec jego matki, Kazimierz Rogatko, miał w Rynku doskonale prosperującą masarnię i sklep wędliniarski. Urodzony w Warszawie, gdzie mieszkali stale rodzice (ojciec był architektem) spędzał jednak często wakacje u dziadków w Lubartowie. Tuż po wyzwoleniu zaczął nawet tutaj uczęszczać do gimnazjum i wstąpił do tutejszej drużyny harcerskiej...



Drużyna AZS była jedyną szermierczą drużyną w Lublinie, a także jedną z nielicznych działających na Lubelszczyźnie. W odróżnieniu od większości innych sekcji sportowych AZS, które „tułały się” po różnych, częstokroć zupełnie prymitywnych po-

mieszczeniach, szermierze mieli swój pewny, stały kąt w sali gimnastycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Skądinąd: jedynej wówczas własnej sali sportowej, lubelskich akademików. Owa sala znajdowała się w nie wykończonym gmachu obecnej Biblioteki KUL przy ul. Chopina. A dokładniej: na parterze, tam gdzie dzisiaj znajduje się hall wejściowy i szatnia.

Od strony ul. Chopina nie było wejścia; wchodziło się do wnętrza niewielkimi drzwiami, od strony ul. Maksymiliana Chmielarczyka. Zaraz za owymi drzwiami mieściła się, wydzielona starymi wojskowymi szafkami na ubrania — prymitywna szatnia. Na przeciwległym końcu sali, było wejście do pomieszczenia zwanego szumnie „sportową umywalnią”. A w istocie — ciemnawego i dość ponurego locum, gdzie spod sufitu zwisało kilka pryszniców, które nie pamiętały już chyba co w ogóle znaczy określenie: „ciepła woda”. Toteż, prawdę mówiąc, nikt ze „sportowej umywalni” nie korzystał. Ale... problem ciepłej wody był w tamtych latach problemem „ogólnouniwersyteckim”. Stały jej brak w łazienkach domów akademickich przy ul. Langiewicza w miasteczku uniwersyteckim, doprowadził nawet, w kilka lat później do swoistej studenckiej „rewolty” i tłumnego pochodu przez Krakowskie Przedmieście przed gmachem Rektora UMCS na placu Litewskim.

W ekszołnierskich szafkach mieścił się wcale niebagatelny dobytek sekcji szermierczej AZS. Wisiały tu zielone „azetesowskie” dresy, białe uszyte ze specjalnego grubego płótna dwuczęściowe uniformy do walk na planszy, wzmocnione skórą rękawice szermiercze, maski z mocnej stalowej siatki... Ale przede wszystkim była — broń! Lekkie sportowe szable, trzy rodzaje floretów: bardziej tradycyjne — „francuzy” i „włochy” z lekko wygiętymi rękojeściami oraz nowoczesne „belgi”, z metalową rękojeścią specjalnie wymodelowaną dla możliwie najlepszego uchwytu... Była także jedna szpada. Ale szpady w Lublinie nikt nie trenował. Tylko — szablę i floret.

Na treningi zachodzili chętnie dawniejsi zawodnicy, z lat zaraz-pówojennych, jak np. mgr Wertarasiewicz, ale sekcja

działała głównie w oparciu o „średnie” pokolenie zawodników oraz zupełnie młody „narybek”, który pojawił się w sali treningowej jesienią 1954 r. (Wśród niego znajdował się także piszący te słowa).

Zawodnikami z ustaloną już pozycją byli m. in.: student fizyki — Andrzej Czahor; kończący studia farmaceutyczne — Andrzej Niechoda; robiący klasę maturalną — Mariusz Jeliński (dzisiaj — dziennikarz telewizyjny, jeden z asów programów muzyczno-rozrywkowych warszawskiej TV). „Narybek” to — bardzo uzdolniony Pilarski, Senftleben, Zajączkowski... W sumie — około dwudziestu osób; w tym: trzy czy cztery dziewczyny. A wśród nich — zawodniczka Lilka Wertyńska i nowicjuszka Żunia Grosser. Ale, oczywiście, jeżeli odbywały się zawody szermiercze, to o miejsca na podium zwycięzców walczyli zarówno mężczyźni jak i kobiety. Doprowadziło to pewnego razu, podczas wojewódzkich eliminacji szermierczych we florecie kobiet, do właściwie zupełnie nonsensownej sytuacji.

Otóż do owych wojewódzkich eliminacji zakwalifikowały się jedynie dwie zawodniczki, Wertyńska i Grosserówna. Jako że... żadnych i n n y c h zawodniczek — florecistek wówczas na Lubelszczyźnie nie było! Walka zakończyła się błyskawicznym, wysokim zwycięstwem Lilki Wertyńskiej. Nic dziwnego: Grosserówna była wtedy zawodniczką zupełnie jeszcze „zieloną”, tuż po „pierwszym kroku” szermierczym. Lecz zasadom sportowej biurokracji musiało stać się zadość. I... obydwie nasze koleżanki otrzymały jak najbardziej legalne dyplomy; pierwsza — mistrzyni, a druga — wicemistrzyni województwa lubelskiego we florecie kobiet...

Wyszędłszy na ulicę, Żuńka podarła swój dyplom. Co może nie było całkowicie zgodne z wąsko rozumianą etyką sportowca, ale przecież... jakże słuszne, jako swoisty protest przeciwko wszystkim, podobnego rodzaju sytuacjom w sporcie. I zresztą — nie tylko w sporcie.

Duszą sekcji szermierczej AZS, był — jak już wspomniałem — trener mgr Bohdan Przybyło, akademicki mistrz w szabli. Ale chociaż sam — szablista, stawiał w sekcji lubelskiej

głównie na floret, słusznie uważając, że właśnie ta szermiercza „specjalność” jest podstawą owej dyscypliny sportu. Że floret wyrabia lekkość, elegancję ruchów, refleks, finezyjność walki, jej „kulturę” i dopiero później będzie czas na przejście do bardziej efektownej, bardziej dynamicznej i „spektakularnej” szabli.

Niewysoki, krępy o jasnych włosach, trochę zadartym nosie i zawadiackim, kpiarskim spojrzeniu, gibki i elastyczny jak sprężyna należał Bohdan Przybyło do tych młodych mężczyzn, którym wczesna łysina wcale nie odbiera uroku w oczach kobiet. Odznaczał się zresztą kulturą, dowcipem, miał wiele osobistego uroku. Poza szermierką uwielbiał tańczyć i... fotografować. Właściwie już nie wiadomo, co późniejszemu doktorowi nauk chemicznych i adiunktowi na UMCS było bliższe: chemia, szermierka czy fotografia?

Zginął nagle, tragicznie, 5 sierpnia 1966 r. Pojechał ze swoją narzeczoną studentką medycyny Julitą, na wakacje do Łeby. Utonęli w morzu. Ich ciała sprowadzono do Lublina. Oboje zostali pochowani na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Podczas pogrzebu Bohdana Przybyły, przy grobie stanęła warta honorowa. Szermierze w białych strojach, z maskami na twarzach i z bronią, którą oddali mu ostatni szermierczy ukłon.

Był wśród nich także Andrzej Gottner, jedna z pierwszych kling Polski. W 1954 r. zupełnie mały jeszcze chłopiec, który „przystal” do sekcji szermierczej mimo zbyt młodego wieku. I dla którego Bohdan Przybyło polecił zrobić specjalny mały florecik, bo normalny był dla niego jeszcze za ciężki i za wielki...

Znajomi z basenu

W czasach, kiedy w miasteczku uniwersyteckim nie było jeszcze Akademickiego Ośrodka Sportowego z jego salami treningowymi i krytą pływalnią, studenci korzystali, na zasadzie niepisanej dzentelmeńskiej umowy, ze szkolnego basenu przy ul. Godebskiego będącego własnością Liceum im. Staszica. Był to, notabene, basen odkryty bez podgrzewanej wody, ale i tak stanowił nie lada atrakcję w mieście, w którym istniały jeszcze tylko dwa podobne obiekty: stare, przedwojenne kąpielisko przy ul. Lubomelskiej oraz niewielki basenik przy ul. Grottgera, znajdujący się mniej więcej w tym miejscu gdzie dzisiaj wznoszony jest budynek Teatru i Filharmonii Lubelskiej.

Budowę basenu przy ul. Godebskiego rozpoczęto chyba w 1957 r., z inicjatywy ówczesnego dyrektora Liceum im. Staszica, wieloletniego działacza harcerskiego, Tadeusza Lewackiego. Budowa postępowała bardzo szybko. Tym bardziej, że pomagali w niej także uczniowie. W czasie wakacji 1958 r. już się tutaj kąpano.



Jak na owe czasy, basen „przy Godebskiego” był obiektem bardzo atrakcyjnym. Wprawdzie nie posiadał „olimpijskiej” długości (miał wymiary 25×25 m), ale za to wznosiły się nad jego głębszą częścią — trzy różnej wysokości skocznie z trampolinami, jakich nie uświadczycie poza tym w całym Lublinie. Całą stronę basenu (od ul. Godebskiego) zajmowała kilkustopniowa trybuna, zaś od strony północnej stał długi niski drewniany poniemiecki barak, w którym znajdował się m. in. magazyn sprzętu sportowego oraz „pakamera” ratowników.

Kiedy około połowy czerwca, szkolny woźny, pan Chowaniec napełniał basen wodą, zaczynały w kierunku ul. Godebskiego ciągnąć rzesze młodych ludzi. Przychodzili tutaj przede